

Piotr Milnerowicz

Moje spotkania i serdeczne rozmowy z „Jerzusem” – Jerzym Sulimą-Kamińskim i mój udział w teatralnej realizacji „Mostu Królowej Jadwigi”

Moje spotkania i serdeczne rozmowy z „Jerzusem” – Jerzym Sulimą-Kamińskim, a także mój udział w owym szczególnym przedsięwzięciu teatralnym, jakim był niewątpliwie „Most Królowej Jadwigi” na bydgoskiej scenie, jak również o genezie tego przedstawienia, o kulisach i pewnych tajemnicach jego powstawania – o tym chciałbym się dzisiaj podzielić w moich głośnych rozmyślaniach o Jerzym... Chcę tu wspominać Jurka – autora książki swojego życia, pragnę opowiedzieć o Twórcy i o Człowieku, którego choć nie ma tutaj fizycznie, niestety, ale jestem głęboko przekonany, że duchem – jest wśród nas! Wiem również i to, że Jerzy – ze swoim wielkim dziełem: „Mostem Królowej Jadwigi” – zajmują w moim życiu osobistym i zawodowym szczególnie ważne i osobliwe miejsce.

Cofając się pamięcią do samego początku: Jerzego spotkałem po raz pierwszy, będąc wówczas milczącym, ale chyba dość uważnym uczestnikiem pewnej rozmowy w szerszym gronie. Były to wczesne lata siedemdziesiąte, chyba rok 1973. Staliśmy wtedy na placu przed wejściem do siedziby bydgoskiej rozgłośni Polskiego Radia (obecnie Radio PiK): On, moi koledzy przyjaciele z teatru, aktorzy – Grześ Galiński, Tedzia Zagłobianka i ja. Omawiali zawzięcie pewne szczegóły dotyczące realizacji Jego kolejnego słuchowiska radiowego, oczywiście z Jego tekstem. Jurek wydał mi się wówczas jako ktoś bardzo Ważny i bardzo Poważny – ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Jako człowiek o dużym autorytecie, emanujący solidnością i pracowitością. Pan w sile wieku, niewysoki, w okularach, z kędzierzawą blond-czupryną. I takiego Go zapamiętałem. Dowiedziałem się, że to szef działu literacko-artystycznego naszej rozgłośni, a także bardzo interesujący literat. Żałowałem, przyznaję, że inni koledzy aktorzy mieli to

szczęście z Nim współpracować. Rzeczywiście, w latach 70. i 80. Jego słuchowiska cieszyły się dużym powodzeniem u radiosłuchaczy.

Nierzadko zaraz po bydgoskiej prapremierze, błyskawicznie były wysyłane do Warszawy i tam prezentowane na antenie ogólnopolskiej. Wiele tych perełek radiowego teatru wyobraźni Jurka prezentowała Warszawa przez wiele lat w obsadzie i reżyserii artystów warszawskich.

Ponowne spotkanie z Jurkiem miało miejsce wiele lat potem, chyba to było w 1993 r. Poznaliśmy się wtedy osobiście w kawiarni artystycznej „Węgliszek”, kiedy to z okazji obchodów Bydgoskich Dni Literatury czytałem publicznie fragmenty pierwszego tomu „Mostu Królowej Jadwigi”. Wtedy to po raz pierwszy zetknąłem się z twórczością literacką Jerzego. Czytałem, jak pamiętam, trzy fragmenty: początek powieści z pierwszym słynnym zdaniem: „Stary Appelt, jak wszyscy masoni, pojawia się w wielu miejscach jednocześnie”, dalej szedł fragment zabawnej sceny na moście Królowej Jadwigi, gdzie spotkali się dwaj przyjaciele: Ojciec Jerzusia Bolech i Władych Batko, rozprawiając o naprawie kieszonkowego zegarka, a także o tym, jak najlepiej i najszybciej można zarobić pieniądze na końskich odchodach!... I wreszcie przeczytałem zabawną, efektowną sekwencję u fryzjera, gdzie oko w oko zetknęli się ze sobą: Pomorzaki, przezywani „Krzyżokami” (czyli ówczesni bydgoszczanie), oraz „bose antki z Kongresówki”, jak nazywali miejscowi Polaków z centralnej Polski. Pamiętam, że z dużą uwagą było to przyjęte przez publiczność. Tekst przerywany był śmiechem za dowcipne puenty i zawarty tam niewymuszony humor. Pracując nad tym materiałem, doszedłem do wniosku, że to znakomita proza. Że to się świetnie czyta, że to bardzo dobry autor! Red. Zdzisław Pruss, organizator i prowadzący ową literacką biesiadę, poznał mnie wtedy z autorem tej książki. Zamieniliśmy oczywiście parę słów – ja szczerze autora i jego „Most” skomplementowałem, a pan Jerzy bezceremonialnie, od razu przeszedł ze mną na „ty”. Byłem tym nieco zaskoczony i zakłopotany. Po imprezie ze zdumieniem stwierdził: „Ty wiesz, że oni tego słuchali!”. Stwierdziłem, że to człowiek niebywale skromny i nieśmiały.

Początek marca 1995 r. Któregoś wieczoru ujrzałem Jurka na widowni naszego teatru, na jednej z prób. Wtedy to przygotowywaliśmy specjalne przedstawienie, by uczcić tym 75-lecie sceny polskiej w Bydgoszczy. Ówczesny dyrektor teatru p. Wiesław Górski przygotował na tę uroczystość okolicznościowy scenariusz, w którym w jego pierwszej części postanowiliśmy pokazać sceniczną wersję pierwszego tomu „Mostu Królowej Jadwigi” (po raz pierwszy!). Idea tej teatralnej adaptacji polegała na tym, że narracyjne partie tekstu kilkoro akto-

rów czytało z widowni, a na scenie dopełniały tego inscenizowane obrazy, oparte na dialogach z powieści. Była to zatem krótka 40-minutowa prezentacja co najciekawszych, najbardziej efektownych scen z książki Jerzego. W tym minispektaklu autor – Jerzy Sulima-Kamiński jako niewątpliwa ozdoba przedstawienia (po wielu perswazjach i namowach dał się w końcu na to namówić), siedział sobie wygodnie w okazałym fotelu na przodzie sceny i razem z widownią obserwował efekty teatralnej wizji swojego dzieła. W sumie było to wszystko chyba nazbyt konwencjonalne i wyszło raczej jako „akademia ku czci”. Jerzy, jak pamiętam, dość powściągliwie wypowiadał się o rezultatach naszej pracy. Chyba nie był zbyt zadowolony. Ale, jakkolwiek by było sceniczne życie „Mostu Królowej Jadwigi” właśnie tutaj wzięło swój prapoczątek!

A teraz przeskakuję czas o cztery lata naprzód, do roku 1999. Zaczęłam wówczas dość intensywnie poszukiwać ciekawej literatury teatralnej, mało-obsadowej, aby zrealizować to na scenie teatru impresaryjnego „Antrakt”, z którym od wielu lat współpracuję. Poprzednio były tu wystawiane w formule teatru małych form spektakle Jerzego Krzysztonia, Mroźka, literatura faktu Kazimierza Moczarskiego, były też programy poezji romantycznej Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. Pomyślałam sobie zatem: jakby to cudownie było, gdyby tym razem znalazł się dobry bydgoski autor i temat bydgoski! Przypadkiem natrafiłem na zbiór zrealizowanych słuchowisk radiowych w wydaniu książkowym z 1980 r., autor Jerzy Sulima-Kamiński. Świetnie! Lektura pozwoliła szybko skonstatować, że to się znakomicie nadaje na scenę. Bardzo dobry dialog, świetna polszczyzna (podstawa w teatrze) lapidarność, poczucie humoru, soczyście naszkicowane postaci, mała obsada – słowem wszystko, czego tu potrzeba. Pomyśl na inscenizację miałem już gotowy. Pozostaje tylko zgoda autora na realizację. Autor, w końcu mój stary dobry znajomy, zaproponował mi pierwsze spotkanie „u Włocha”, jak nazywał kawiarnię „Reggio Emilia”, blisko staromiejskiego mostu, który, nomen omen, nazwany został Jego imieniem. Odtąd zawsze tam spotykaliśmy się z Jerzym – omawiając bieżące sprawy teatralne, ale nie tylko. Gadałszy o naszym mieście, w ogóle o życiu, polityce, kulturze, o naszych rodzinach – o wszystkim. Zawsze były problemy, kto z nas ma zapłacić za kawę. Obaj chcieliśmy to zrobić jednocześnie. Ale kiedy w końcu wyszło na to, że obaj mamy chude portfele, płaciliśmy odtąd na przemian: raz On, raz ja. Oczywiście zgodę na realizację spektaklu otrzymałem. Ale... niestety! W miarę wnikliwego wgłębiania się w materię treści – pojawiać się zaczęły problemy i wą-

pliwości. Czy jest to jeszcze dzisiaj nadal aktualne, czy będzie to czytelne dla współczesnego widza. Tu i teraz. Z przerażeniem dochodzę do wniosku, że niestety, ale czas zrobił swoje. Że choć to nadal jest literacko i teatralnie świetne, ale kontekst historyczny jest już dzisiaj zupełnie inny. Dylemat – co robić? Można by w końcu przerobić to, zaadaptować do naszych czasów, inny kontekst społeczny, polityczny, ekonomiczny, obyczajowy (tam są wyraźne odniesienia do lat 70.). Powiedziałem wprost Jerzemu, o co chodzi. Odrzekł mi: „Chcesz się męczyć, to rób to. Ja bym zostawił. Niech to już pozostanie, jako znak tamtych czasów. Signum temporis!” Przekonał mnie...

Zbliżała się rocznica 80-lecia Teatru Polskiego w Bydgoszczy. Mamy już połowę 1999 r. Odbywają się spotkania, rozmowy i dyskusje na ten temat. Pojawiają się publikacje: czym by tutaj najbardziej godnie i trafnie uczcić ten ważny, okrągły jubileusz. Bóg mi świadkiem, że do dzisiaj nie wiem, kto tak naprawdę pierwszy wpadł na pomysł, aby w związku z tym wystawić Jerzusiowy „Most” na bydgoskiej scenie. Być może, że to właśnie byłem ja... Być może podchwyciłem skwapliwie czyjąś słuszną myśl w tej szeroko rozwijającej się dyskusji, że TO będzie najwłaściwsza i najtrafniejsza propozycja reperturowa. Pomysł z pozoru szalony: 800 stron tekstu – i jak na razie nic poza tym. Gdyby zacząć to realizować, trzeba by najpierw dokonać sensownej adaptacji! Ale kto to ma zrobić?! Kolejne spotkanie z Jerzym „u Włocha”. Mówię wprost: „Jerzy, powinien Twój «Most Królowej Jadwigi» znaleźć się na bydgoskiej scenie”. Spojrzał na mnie uważnie zza okularów, chrząknął i... zmienił temat. W międzyczasie sonduję, badam sprawę w rozmowach z co bardziej rozsądnymi i wrażliwymi na kulturę i teatr ludźmi z naszego miasta; co też o tym sądzą, czy znalazłyby się na to pieniądze. Odpowiadają, że piękny pomysł, ale chyba nie-realny. Jerzy na którymś z kolejnych spotkań, kiedy znów powrócił gorący temat, po długim namyśle odparł: „Ależ to się nie nadaje do teatru, to jest niesceniczne”. Zaoponowałem żywo: „A ja jestem przekonany, że to się właśnie nadaje! Tu jest świetny dialog, doskonała narracja. Już samo to, umiejętnie poukładane, da Ci gotowy scenariusz teatralny. „Dobrze” – odpowiada Jerzy, „ale kto to zrobi?... zrobisz?” – strzela wprost. Zaskoczony mówię: „Jerzuś, zrobiłbym to, ale ja pracuję bardzo wolno, poza tym nie mam w tej materii zbyt wiele doświadczenia... czas nagli... ja nie zdążę! Padały różne alternatywne rozwiązania i nazwiska ewentualnych adaptatorów. Jerzy kręcił głową, czasami kategorycznie protestował. I nagle: eureka! Jest ktoś taki! Tym bardziej, że pracuje szybko i dobrze, zna zasady adaptacji, jest dobrym reżyserem o bogatej teatral-

nej wyobraźni i sporym doświadczeniu. Jerzy! daję Ci sensowną propozycję: niech to będzie Andrzej Maria Marczewski, były dyrektor naszego teatru. Miał tu szereg dobrych przedstawień”. Jerzy po namyśle: „Dobrze, znam człowieka i jego przedstawienia, bardzo podobała mi się podobała jego adaptacja »Mistrza i Małgorzaty« Bułhakowa, interesujący był też »Obóz Wszystkich Świętych« wg prozy Tadeusza Nowakowskiego. To niezły pomysł, ale czy on się zgodzi?” „Nie wiem – mówię – ale jeśli Ty przystajesz na to, a władze miasta się zgodzą i zaakceptują pomysł, sprawa pozostaje otwarta, zaproponujcie to Marczewskiemu i może...”

A swoją drogą starałem się dociec, co też tak naprawdę władarze naszego miasta o tym sądzą? I tutaj pragnę powiedzieć szczerze o wielkiej aprobacie i ogromnym entuzjazmie, z jakim odnieśli się wszyscy do tego pomysłu. Od samego początku gorącymi orędownikami „Mostu Królowej Jadwigi” na bydgoskiej scenie byli: p. Wiesław Trzeciakowski, ówczesny dyrektor Wydziału Kultury, jak również późniejszy jego następca, p. Ireneusz Frelichowski, i Pani Wiceprezydent Miasta Elżbieta Krzyżanowska, opiekująca się naszą kulturą, Boże, jak Ona ogromnie się ucieszyła, że wreszcie mogą w tym zagrać wszyscy aktorzy, nawet emeryci – cały zespół aktorski naszego teatru! Zawsze to z radością podkreślała. Aprobował to bez zastrzeżeń również sam Prezydent Bydgoszczy Pan Roman Jasiakiewicz. Słowem, niemal wszyscy rozsądni i wrażliwi na kulturę humaniści z naszego miasta. Na kolejnym spotkaniu „u Włocha” Jerzy poważny i szczęśliwy oznajmia: „Temat został zaakceptowany, Andrzej Marczewski przyjął propozycję!”. Tak więc machina ruszyła! Będzie zatem „Most Królowej Jadwigi” na scenie. Rzecz jasna, sprawy zaczęły się już toczyć dalej oficjalnym, właściwym sobie torem. Rozdzwoniły się telefony, zaczęły się rozmowy, propozycje, uzgadniania terminów, podpisywanie umów, negocjacje stawek itd. Jerzy zaś podjął się funkcji konsultanta literackiego. A mnie pozostało już tylko cierpliwie czekać, co Los przyniesie... Jerzuś cały czas był ogromnie zatroskany i przejęty: „Ale chyba coś w tym zagrasz, nie?! Odpowiedziałem, że jest tu tyle interesujących postaci, że i dla mnie jakaś rola się znajdzie. - „No, a co byś chciał zagrać?” – „Nie wiem Jerzy, nie wiem... zagram to, co mi dadzą”. Analizując swój wiek, moje warunki psychofizyczne, po cichu myślałem o roli Ojca, ważnej postaci w powieści (no i w przyszłym przedstawieniu), ale nikomu do tego się nie przyznawałem. Najpierw książka! Muszę jak najszybciej przeczytać książkę. Niestety, nie było jej ani w księgarniach, ani w antykwariacie. Powiedziałem o tym Jerzusiowi. Na następnym spotkaniu Jerzy wspania-

łomyślnie wręcza mi trzy tomy w jednym woluminie, wydanie z 1998 r. wraz z dedykacją: „Piotrowi Milnerowiczowi z nadzieją na twórczą współpracę, Jerzy Sulima-Kamiński, Bydgoszcz 23 września 1999 roku”. Miesiąc później otrzymuję od adaptatora i przyszłego reżysera spektaklu Andrzeja Marczewskiego wiadomość: „Grasz Ojca!, pierwsza część „Mostu” prawie gotowa, szukaj sobie żony (oczywiście scenicznej). O, więc teraz tym bardziej muszę przeczytać powieść „od deski do deski”. Lektura książki była naprawdę fascynująca. Szczególnie rzecz jasna, zwracałem uwagę na partie tekstu Ojca, którego przyjdzie mi niedługo zagrać. Moje czytanie „Mostu” to była cała ceremonia: musiał być nastrój, skupienie, koniecznie wieczór, mocne światło lampy padające na książkę i absolutna cisza. Wtedy najmocniej tekst działał na wyobraźnię... Jakaż to świetna literatura! Ile dowcipu i humoru, jak cudownie prosto, plastycznie i barwnie narysowane postacie. Ile tu prawdy, prostoty i niekłamane wdzięku. Jak klarownie poprowadzona jest narracja. Często łapałem się na tym, że spontanicznie, głośno reagowałem na czytany tekst. Moja żona, zdumiona pyta: „Czego ty się śmiejesz?” – „Bo czytam „Most Królowej Jadwigi” – odpowiadałem. Innym razem: „Dlaczego płaczesz?” – „Bo czytam Most Królowej Jadwigi”... Jerzusia skomplementowałem za doskonały utwór mówiąc, że przy tej lekturze miałem taki komfort intelektualny, emocjonalny – taki błogi nastrój mnie ogarniał, jak wtedy, gdym w dzieciństwie czytał po raz pierwszy „Lalkę” Bolesława Prusa, najwspanialszą lekturę mojego życia. Jerzy uważnie spojrzał na mnie, chrząknął i powiedział: „Słuchaj kochany, a ty nie bujasz?” – „Jerzy, mówię Ci w tej chwili to, co serdecznie myślę i czuję, a pochlebstwami i kłamstwem się brzydzę” – odpowiedziałem.

Próby „Mostu” rozpoczęły się na dobre 10 stycznia 2000 r. I z magicznym hasłem – zawołaniem Marczewskiego: „Inteligentnie proszę, kulturalnie proszę!” rozpoczęliśmy pracę. Premiera nieodwołalnie 25 marca na „Międzynarodowy Dzień Teatru”. Odliczając niedziele i poniedziałki, w międzyczasie eksploatacja bieżącego repertuaru i równoległe przygotowywania bardzo trudnej sztuki M. Bułhakowa „Psie serce”, to przyznacie Państwo, czasu mieliśmy tutaj przerażająco mało. Warunki pracy zatem niebywale trudne, obwarowane wieloma ograniczeniami. Ówczesny dyrektor instytucji nie był w tym dla nas łaskawy. Zaangażowano cały zespół aktorski teatru, zaproszono do współpracy kolegów emerytów, dawno już nie pracujących: Romana Metzlera, Kazia Kurka, Leszka Sadzikowskiego, Zbyszka Krężałowskiego. Terenia Leśniak i Kaziu Miranowicz niestety, odmówili (choć byliby tu bardzo potrzebni!). Dlaczego

zrezygnowali?... nie wiem. Być może obawiali się, że „instrument ich będzie niestrojny” przez długie niegranie na scenie..., nie wiem. Teresa byłaby świetna w roli Matki w I części „Mostu”. Obsada sztuki w zasadzie tworzona była na bieżąco, z „marszu”. Poza moim szczęśliwym przypadkiem personalno-obsadowym, tak zwanymi „pewniakami” byli: Madzia Kusińska jako Babusia Rzechotka i Józia Szałańska, predestynowana niejako do zagrania ekscentrycznej, zabawnej roli Cioci Monisi. Bardzo chciała uczestniczyć w tym spektaklu kol. Iwona Żelaźnicka. Byłaby w tej obsadzie potrzebna i właściwie wykorzystana, ale kategorycznie nie zgodził się na to ówczesny dyrektor teatru Andrzej Walden. No cóż, zadziałały tu wyraźnie czynniki osobistej niechęci, zupełnie pozaartystyczne. Andrzej nie potrafił, niestety, oddzielić spraw natury osobistej od istotnych potrzeb teatru! Kaziu Kurek z posturą urodzonego szlachciury otrzymał świetną rolę Dziadusia Polonusa, szybko jednak zrezygnował. Znakomicie próbował i byłby bardzo dobry. Przestraszył się, czy co?! Także nie wiem. Aliści skorzystał na tym bardzo Lesiu Sadzikowski, stwarzając w końcu naprawdę piękną i wiarygodną postać. Wszystkie role (22 postaci) obsadzone, niektórzy grają nawet podwójnie!, próby trwają, warunki pracy niezwykle spartańskie, czasu na wszystko przeraźliwie mało i zbliżamy się do uroczystej prapremiery.

Idea inscenizacyjna spektaklu polegała na tym, że narracyjne partie powieściowego małego i dorastającego Jerzusia, notabene w dużej mierze porte - parole biograficzne autora książki, zostały rozdzielone pomiędzy dwóch wykonawców: młodego Jerzusia z akcji powieści i „stworzonego” już przez adaptatora, Jerzego dorosłego, żyjącego współcześnie, tu i teraz. Zatem oni tworzyli epicką kłamrę spektaklu, wizualny i werbalny zwornik łączący całe przedstawienie, wszystkie sekwencje akcji, wraz z bohaterami sztuki w ich wzajemnych relacjach. Ta struktura inscenizacyjna obowiązywała oczywiście także w II cz. przedstawienia. Układ tekstu tej adaptacji przekazywał publiczności ewolucję intelektualno-emocjonalną głównego bohatera - Jerzusia, jego dojrzewanie, jego drogę od dzieciństwa do dorosłości. Uniwersalną i bardzo funkcjonalną dekorację tworzyły znane sylwety bydgoskich budowli oraz fasady miejskich kamienic. Między widownią a sceną zawisła charakterystyczna sylweta tytułowego mostu Królowej Jadwigi, zaś meble oraz rekwizyty, swoim przemieszczaniem się w scenicznej przestrzeni, wyznaczały kolejne miejsca akcji.

Ogromny wpływ na intelektualno-duchowy rozwój Jerzusia posiadał jego Ojciec, ze swoją niekłamana miłością do syna, i wielkim pragnieniem, aby wychować go na porządnego człowieka i dobrego Polaka. Rola Ojca, bardzo ważna

w sztuce, niejako centralnie ustawiana w relacjach między bohaterami przedstawienia, z dużymi partiami tekstu w obu częściach sztuki. Bardzo chciałem ją przyzwoicie zagrać! Zaproponowałem widzowi środkami aktorskimi sposób myślenia, całą złożoną mentalność i psychikę Ojca wplątanego w tryby historii. Chciałem pokazać jego wrażliwość, jego wielką czułość do syna – imperatyw działania tej postaci, jego specyficzne poczucie humoru. Bogata i odpowiedzialna rola. A jak ją zagrałem?... Starłem się być wobec widza maksymalnie przekonujący i sugestywny. Skupiony i prawdziwy. Ludzki – z zaletami i wadami, jakie niesie ta postać. A jako aktor działałem w myśl zasady: bądź sobą – taki jaki jesteś, z twoją fizycznością, wnętrzem, temperamentem, poczuciem humoru – sobą w założonych tekstem sztuki okolicznościach. Ta metoda najbardziej się tutaj sprawdziła. Lubiłem tę rolę, wspominam ją dzisiaj z dużym sentymentem.

Jerzy bywał prawie na każdej próbie. Zawsze niezwykle przejęty, z wypiekami na twarzy, interesował się niemal każdym szczegółem. Kiedy podczas prób przekręcaliśmy czasem, nieświadomie, jakieś słowo, w przerwach Jurek podchodził do nas i natychmiast podrzucał to właściwe. On chyba znał cały „Most” na pamięć! Próby często kulały, szły opornie, wszystko rodziło się w bólach i męce. Zresztą, jak to bywa na próbach: zaczyna się pracę nad rolą właściwie od „zera”, powoli, ostrożnie „maca” się delikatnie materię postaci, żeby tylko nie „spłoszyć”... żeby w odpowiednim momencie pewnie wejść na właściwą drogę. Jerzy nie nawykły do specyfiki naszej pracy, pytał mnie często z wielkim niepokojem: „Słuchaj, ale... ale to chyba wyjdzie, co?” Bardzo „pilnował” swojego tekstu i kibicował nam w każdej sytuacji. Adaptacja pierwotnie była bardzo obszerna. Trzeba ją zatem było skracać, zewrzeć i dostosować do percepcji współczesnego widza. A Jerzusiowi właściwie szkoda było każdego słowa. Więc poszedł z reżyserem na pewien kompromis. Kosztem sporych, ale koniecznych skrótów, „wywalczył” za to wprowadzenie ważnej dla wymowy całości sztuki efektownej i zabawnej sceny „u fryzjera”, dodał też Ojcu niezwykle istotną tyradę pacyfistyczną w sekwencji „Zaolzia”: zbrojnego, imperialnego działania Polski na terenach Czechosłowacji w 1938 r. Jerzy chciał tym samym wyraźnie zaznaczyć dezaprobatę Ojca wobec wszelkiej agresji i nieprawości.

Obawy Jerzego okazały się w końcu zupełnie niepotrzebne. Premiera I części „Mostu” była, mówiąc lapidarnie, przyzwoicie udana. Publiczność przyjęła nas ciepło i serdecznie. Scena tonęła w kwiatkach. Marczewski, tak jak przyrzekł, że kiedy nam to wszystko wyjdzie, publicznie uklęknie przed Jerzym i ucałuje go

w rękę. I tak też zrobił! Były jubileuszowe przemówienia, gratulacje, nagrody. Spektakl został rzeczywiście zaakceptowany przez publiczność, prasa dobrze pisała o aktorach, o inscenizacji, a przy tym zasłużone splendory spływały, rzecz jasna, i na Jerzego! Po uroczystej premierze, już niemal następnego dnia dostajemy nowe teksty (ogromny materiał) zupełnie nam nieznane i... rozpoczęliśmy przygotowania w łącie super ekspresowym tempie do II cz. przedstawienia. Premiera 15 kwietnia, w niecałe trzy tygodnie. Horror! W mojej przeszło 40-letniej pracy zawodowej czegoś podobnego jeszcze nie przeżyłem! Jedyna pociecha w tej biedzie, że każdy z nas „siedział” już w swojej roli. Nie przespane noce, obłądne wkuwanie tekstu. Budzi się czasami człowiek w środku nocy zlanym zimnym potem, ciarki przerażenia chodzą po grzbiecie i jedna paraliżująca myśl: „Boże, a jeśli to nie wyjdzie?!”... Ale nic, wszyscy zaciskamy zęby i twardo do przodu. O dziwo, premiera poleciała bez przeszkód, bez najmniejszej wpadki tekstowej. Co prawda, sufler nasz dwoił się i troił, i on na pewno był cały mokry od potu, od „stóp do głów”. Paradoksalnie chyba było nawet lepiej, niż w części pierwszej. Myślę, że i sam tekst okazał się tu bardziej dynamiczny i efektowniejszy teatralnie. Jerzy był zadowolony i usatysfakcjonowany, publiczność również. Na raucie popremierowym gratulacje, podziękowania, rozmowy o realizacji, o koncepcji postaci, a ks. abp Henryk Muszyński, który widział obie części „Mostu”, powiedział mi wprost, że zobaczył tu przyzwoity teatr, a będąc na widowni czuł się swojsko i bezpiecznie, kiedy dane mu było zobaczyć solidną, dobrą, kochającą się rodzinę: i śmieszna, i wzruszająca, która swoim scenicznym życiem pobudzała do refleksji nad ludzkim losem. Że choć był to spektakl bardzo „bydgoski”, przekazywał jednocześnie uniwersalne treści o naszej ludzkiej kondycji. Szczerze pogratulował i prosił o przekazanie tych słów całemu zespołowi. A więc chyba zwycięstwo! Zatem nasz trud się opłacił. Z tego piekielnie trudnego boju powróciliśmy z tarczą. Oceny prasowe, jak też odgłosy i reakcje publiczności również były bardzo pozytywne. Choć i zdarzały się pewne uwagi krytyczne. Jerzy ogromnie się tym przejmował. Widziałem, jak wiele Go to kosztowało. Pocięszalem Jurka głosem rozsądku, że w końcu „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”, że w ogromnej większości są to oceny pochlebne, że wcale nie odbierze Mu to czytelników, bo mądry, wrażliwy widz teatralny obejrzy przedstawienie i jeszcze sięgnie do książki, by to skonfrontować, a głupi nie bywa w teatrze, ani nie czyta. Wreszcie, że te incydentalne recenzje negujące naszą pracę nad „Mostem” pisane były przez kapryśnych ignorantów, co to prezentując tu swoją pseudokompetencję i tzw. „krytyczną wiedzę” krytyka, pragną tym „wykre-

ować” jedynie własną osobę. A w końcu niechże się przejmuję tyle, ile trzeba. Dla własnego zdrowia.

Od premiery 25 marca do czerwca 2000 r. zagraliśmy łącznie 18 razy. To dużo, a jednocześnie bardzo mało, zważywszy na spore zainteresowanie tym przedstawieniem, zwłaszcza starszych bydgoszczan, ale i młodzież tłumnie na to przychodziła. „Most” był przerabiany jako lektura szkół średnich. Pytano nierzadko, kiedy znowu będzie można obejrzeć spektakl, otrzymywano odpowiedź, że niestety, schodzi już z afisza. Przedstawienie istotnie było kosztowne: do każdego spektaklu dopłacano 4000 zł. Pojawiły się nawet głosy pewnych osób związanych z teatrem, że gdyby to tylko od nich zależało, takiego przedstawienia nigdy nie zrealizowaliby w naszym teatrze. (sic!)

Zważywszy na cały kontekst tego przedsięwzięcia: że teatr i miasto tym właśnie najbardziej bydgoskim, artystycznie wartościowym i szlachetnym tematem uczciły 80-lecie sceny polskiej w Bydgoszczy; że spektakl oparty na świetnej literaturze właśnie bydgoszczanina, że wreszcie przedstawienie zrobione zostało rzetelnie i na przyzwoitym poziomie artystycznym – zatem powyższy punkt widzenia pewnych osób może być tutaj jedynie złośliwą niechęcią, ignorancją i zwykłym nietaktem. Jest to po prostu nieprzyzwoite! No cóż, to ogromne przedstawienie, nasza w nim praca, nasze spektakle, serdeczne przyjęcie publiczności – to już historia. Pozostaną nam tylko wspomnienia...

Osobiście żałuję bardzo, że nie wykorzystaliśmy wielkiej szansy, aby „Most Królowej Jadwigi” utrwalić na filmowej taśmie i mieć artystyczny dokument z życia i historii Bydgoszczy i Pomorza – naszej Małej Ojczyzny. A było to zupełnie realne! Nawet w rok po zakończeniu eksploatacji, była jeszcze w zespole teatru owa potencja twórcza, ów zapał, pamięć emocjonalna twórców spektaklu, aby móc to wszystko raz jeszcze zebrać do kupy i ponownie zrealizować za relatywnie niewielkie pieniądze. Kamerami filmowymi naszej telewizji z różnych planów owo przedstawienie (oczywiście z publicznością) zarejestrować. Cały ten bogaty, przeszło sześciogodzinny materiał teatralny inteligentnie i profesjonalnie przetworzyć i przekonstruować tak, że powstałby wówczas nowy, dwugodzinny skondensowany i dynamiczny „towar” artystyczny, który z powodzeniem mógłby być zaprezentowany – emitowany w telewizji, pozostając ponadto dokumentem naszej pracy teatralnej.

Gorącym zwolennikiem takiej właśnie koncepcji był dyrektor bydgoskiego ośrodka telewizji p. Marek Brodowski. Dzielnie mu sekundowały panie z redakcji kulturalnej „regionalnej trójki”: Urszula Guźlecka i Katarzyna Marcy-

siak. Rozmawiało się również o tym w kulisach Rady Miasta Bydgoszczy. Padało wiele propozycji: stworzyć z tego film fabularny z nowym scenariuszem, wyjść w plener, pokazać te zaułki, te urokliwe „fyrtele” bydgoskie, tak pięknie opisane w powieści. Była myśl, żeby powstał z tego stricte teatr telewizji z przedredagowanym scenariuszem, ale na bazie naszego spektaklu. Ukazywały się już na ten temat publikacje prasowe, odbywały się dyskusje, sondy i wywiady w bydgoskiej TV. Pan Wiesław Olszewski – Wiceprzewodniczący Rady Miasta proponował bardzo interesujący plan strategiczny: organizacyjno-prawny i finansowy, który pozwoliłby zdobyć na to pieniądze. Niestety, zabrakło chyba odwagi i determinacji, aby sprawę doprowadzić do szczęśliwego finału. Zabrakło rzeczywiście odwagi, by podjąć to ryzyko. Zabrakło odważnego lidera. Wielka szkoda. Na koniec jeszcze refleksja o samej książce Jerzego. Dzisiaj już jej nie ma w sprzedaży, ale w przyszłości, kiedy będzie możliwe jej ponowne wydanie, błagam, aby nie zostało znowu tak niechlujnie edytorsko zaprezentowane jak ten mój egzemplarz sprzed 4 lat, ten z dedykacją od Jerzego. Cały blok książki po lekturze rozklejony, strony wypadają... Ale przynajmniej introligator na tym zarobił! A ja mam teraz zszyty, z „kapitałką” – solidnie, przyzwoicie wykonany „Most” gotów w każdej chwili do ponownej lektury!

Te moje wspomnienia o Jerzym, o spotkaniach z Nim i serdecznych rozmowach, te moje wspomnienia o teatralnej realizacji dzieła Jego życia, pragnąłbym zakończyć pewną refleksją – cytatem z Norwida, którego Jerzy był wielkim miłośnikiem i wielkim admiratorem:

Z rzeczy świata tego

Zostaną tylko dwie:

Dwie tylko:

Poezja i dobroć...

I więcej nic...